

Kategoria: 16 - 18 lat

I miejsce:

Maksymilian Halas

16-18

H. Priester

Czarne złoto doliny

Maj tego roku był wyjątkowo pogodny. Słońce chowało się już powoli za drzewami, gdy stary Osika z Józkiem Lebiodą zganiali krowy z pastwisk na łąkach, nad rzeką Łebą.

- Powiedz ty mi, Władziu, czemu do wsi musi być tak daleko? Nie mieli gdzie tej Krępy założyć, tylko aż za lasem, na skraju tej dolinki? Zobacz, w Gęsi pobudowali się na łąkach i mają sto razy lepiej jak my.

- Ciesz się, Józek, że mieszkasz we wsi, a nie tu, na dole. Już zapomniałeś, jak Łeba nam w marcu wylała? Woda doszła aż do mostu na kanale. Dawno już tak nie było. Chociaż tato mi opowiadał, że jak przyjechali tu ze wschodu, to zaraz, po pierwszej zimie, było podobnie. W ogóle, przez pierwsze lata po wojnie mało kto się tu zapuszczał – rowy były pozapychane i wszędzie było bagno. Bano się też, żeby nie wpaść czasem w stare wyrobiska torfu. Zbierała się tam woda, a na wierzchu tworzył się tylko cienki kożuszek, który z daleka wyglądał jak normalna łąka.

- Patrz, Władziu, jaka z tym torfem śmieszna sytuacja. Niby ziemia i to ziemia z mokradeł, a ludzie tym w piecu palili. Też utarło się, że to tylko w Klukach, a przecież u nas też kopali i to dużo dłużej. Jeszcze ja w latach osiemdziesiątych z rodzicami i wujostwem jeździłem go kopać. Trzeba było dobrze trafić, bo ten blisko rzeki był mocniejszy. Teraz nikt już tego nie praktykuje, a przecież ten torf był lepszy jak węgiel!

- Jak byłem mały, to nasza sąsiadka, pani Konkelowa, opowiadała mi taką historię, skąd on się tu wziął.

- Jak to skąd? Młody miał to ostatnio na przyrodzie. Coś tam było, że bagno po prostu zarastało i to wszystko, jak gniło, to się tak właśnie odkładało.

- No nie do końca. Ona zawsze twierdziła, że to dar.

- Dar? Niby jaki?

- Czekał, siadaj tu na moście, to ci opowiem.

- A krowy?

- Nie bój się, mają więcej rozumu jak ty i ja razem, zaczekają. Jak to było...?

Okoliczne ziemie podzielone były między dwa potężne rody: na prawo od Krępy rozciągał się majątek Otta i Marii von der Osten z Janowic, natomiast tereny bardziej na lewo od wsi należały do państwa von Somnitz z Gęsi. Obydwa majątki były wręcz wzorowe. Pola co roku hojnie wynagradzały ludzką pracę obfitymi zbiorami, gospodarka leśna i rolna stały na bardzo wysokim poziomie... Ludziom żyło się dostatnio i dobrze, obydwie rody bardzo dbały o swoich podwładnych. Nic więc nic dziwnego, że planowały połączyć swoje majątki.

- Ależ kochanie, wiesz przecież, że chcemy dla ciebie jak najlepiej. Jesteś naszą jedyną córką i nie pozwolilibyśmy, żeby cokolwiek w życiu było przeciwko tobie. Helmut von Somnitz jest przecież niezwykle przystojny, dziedziczy duży majątek... Starzy Somnitzowie chcieliby mu go już teraz przekazać, lecz jest jeden warunek...

- Nie kończ, tato! Wiem, do czego zmierzasz. Mama już ze mną o tym rozmawiała. Nie i koniec. Póki co, mam inne sprawy na głowie. A nawet jeśli, na pewno nie wysłabym za niego. Nie wiesz tato, co ludzie o nim mówią.

- Ale skarbie...

- Nie! - wrzasnęła młoda Teodora i trzasnęła drzwiami. Już od kilku miesięcy, gdy tylko skończyła 20 lat, rodzice mówią jej o tym ślubie. Niech mówią... Kocha ich i zrobiłaby dla nich naprawdę wiele, ale nie poświęci się aż tak. Wyszła z pałacu i swoje kroki skierowała w kierunku ochronki, którą razem z matką prowadziły.

W tym samym czasie, w jednej z chałup na pograniczu Krępy i Gęsi, młoda Johanna właśnie urodziła synka. Siostra, która odebrała poród, nie zdążyła nawet pomóc się jej pozbierać, gdy nagle ktoś stanął w drzwiach domu.

- Dzień dobry, Johanno. Piękny dziś mamy dzień. Słyszałem, że jesteś matką?

- Tak... - odpowiedziała dziewczyna ze strachem. Poznała tego człowieka. - Po coś tu, Helmucie, wróciłeś? Przecież rozmawialiśmy już o tym. Ty dajesz mi za to wszystko spokój, ja zapominam, kto jest ojcem mojego dziecka.

- Ależ oczywiście, kochanie, musimy jednak wprowadzić drobną modyfikację. Ten bachor stanowi zbyt duże zagrożenie dla mojego dobrego imienia...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic takiego, po prostu to dziecko nie może z tobą zostać.

- Ale przecież rozmawialiśmy, obiecałeś...

- W tej chwili nie jesteśmy na ty, moja droga. Masz jakichś świadków? Nie! Daję ci dwa tygodnie. Jeżeli sama nie wyjedziesz lub nie pozbędziesz się dziecka, uczynię to za ciebie. I nie rób sobie nadziei - mały nie może zostać na terenie majątku. Szukaj dalej, może znajdziesz wyjście... Chociaż wątpię. Jeśli tego nie zrobisz, możesz być pewna, że zamienię twoje życie w piekło. Majątek jest mały, wszyscy wszystkich znają, plotki szybko się rozchodzą... Cóż, w każdym razie do zobaczenia za dwa tygodnie - rzucił Helmut i wyszedł z chałupy.

Johanna miała łzy w oczach, ale co robić? Wiedziała, że sama nie da rady utrzymać siebie i dziecka. Nie mogła też narzucać się starym rodzicom, którzy i tak tyrali jak mogli. Z resztą wie doskonale, do czego ta kanalia jest zdolna. Jeśli chce pozostać w Gęsi, musi mu ustąpić.

Dwa tygodnie minęły bardzo szybko. Dziewczyna ukryła dziecko w piecu chlebowym, a gdy ledwo przymknęła drzwiczki, przed dom zajechał powóz. Drzwi otworzyły się z hukiem, a w izbie stanął Helmut.

- Witam, moja miła... I jak? Rozwiązałaś nasz problem?

- Tak, Helmucie. Udało mi się. - ze strachem w oczach wydukała dziewczyna.

- Na pewno? - krzyknął mężczyzna.

W tej samej chwili od strony pieca dobiegł ich płacz dziecka. Joanna dobiegła do drzwiczek i zastoniła je sobą, lecz Helmut nie przejmował się niczym. Z całej siły uderzył dziewczynę w twarz, aż ta upadła na podłogę. Sam brutalnie wyszarpnął dziecko i przyduszając je poduszką, wyszedł z budynku. W powozie oddał je w ręce swojej starej służącej.

- Do ochronki w Janowicach, piorunem! - rozkazał woźnicy.

Gdy dojechali, zaczynało się już ściemniać. Kobieta podeszła do wejścia i nie zdążyła nawet zastukać, gdy drzwi się otworzyły. Stała w nich Teodora.

- Niech będzie pochwalony! Pani pozwoli, że się przedstawię – Anna Konkel, służka państwa von Somnitz z Gęsi.

- Na wieki wieków. Co się stało, że przychodzi pani o tej porze? – spytała Teodora.

- Mąż wracał właśnie z pola, gdy usłyszał płacz dziecka z przydrożnego rowu. Leżało tam, biedactwo, porzucone, okryte tylko cienką pieluszką. My nie jesteśmy w stanie się nim zaopiekować, stwierdziliśmy więc, że przekażemy je tutaj.

- Wie pani, jestem bardzo zaskoczona... Zdarzały się wprawdzie sieroty, ale nigdy takie. Przyjmujemy je oczywiście. Zechce pani wejść?

- Och nie, bardzo mi się spieszy. Państwo puścili mnie tylko na chwilę. Bardzo pani dziękuję, do widzenia!

- Do widzenia – odpowiedziała zdumiona Teodora i spojrzała w stronę, gdzie stał powóz. Kobieta już w nim siedziała, a woźnica właśnie zaciągał konie. Obok na koźle siedział jeszcze ktoś...

- Helmut? Niemożliwe. Chyba że... - nie dokończyła i z przerażeniem spojrzała na dziecko. - On nie byłby do tego zdolny – spojrzała jeszcze raz w stronę, gdzie odjechał powóz. – Byłby.

Sierpień w Janowicach był wyjątkowo pogodny, a dla ludzi tym szczęśliwszy, że zbiory były bardzo obfite. Jak co roku przygotowywano się do dożynek. Wszystkiego swym czujnym okiem doglądała Maria von der Osten, dla której było to jedno z najważniejszych wydarzeń w roku. Wracając z kościoła, postanowiła skrócić sobie drogę, idąc obok pałacowej stajni. Szła tak zamyślona, gdy nagle ktoś z wnętrza zawołał:

- Jezus, Maria! Niech pani ucieka! Zerwał się! – Maria powoli odwróciła głowę w stronę bramy, skąd dochodził głos i ku swemu przerażeniu zobaczyła cwałującego w jej stronę konia. Nogi wrosły jej ze strachu w ziemię i nie mogła się ruszyć. Patrzyła tylko, jak potężne zwierzę zbliża się w zawrotnym tempie.

- Mamo! - krzyknęła Teodora, która akurat wracała z przejażdżki. Biegiem dopadła poturbowanej kobiety.

- Mamo, nic ci nie jest? Odezwij się, proszę, nie może być aż tak źle! Ludzie, pomocy!

- Skarbie... Nie wołaj pomocy, to nic nie da. Człowiek czuje, kiedy ma jeszcze szansę. Ty zaopiekuj się ojcem i gospodarstwem. Ty prowadź ochronkę. I proszę, wyjdź za Helmuta. Majątek jest zadłużony, bez fortuny von Somnitza może już się nie podnieść. Nie skazuj na zagładę tego, czemu poświęciłam tyle serca. Wyjdź za niego, kochana... Wybacz starej matce. Do zobaczenia, córeczko... - wypowiedzenie tych kilku zdań było dla niej ogromnym wysiłkiem. Z pałacu właśnie biegł doktor, a za nim reszta służby.

Ludzie opuszczali cmentarz na wzgórku, gdzie znajdowała się rodzinna kaplica von Ostenów. Wiedzieli, że stracili kogoś, kto opiekował się nimi jak matka. To ona otworzyła i wraz z córką prowadziła ochronkę, to dzięki niej we wsi na stałe urzędował lekarz, to ona dbała o kulturę i życie codzienne miejscowości. Pod kaplicą stało już tylko kilka postaci: Teodora wraz z ojcem i młody von Somnitz.

- Moja droga, wiem, że to dla ciebie trudny moment i może zostanie to przez ciebie źle odebrane, ale... – tu Helmut przerwał i spojrzał na Otta von der Osten. Ten tylko przytaknął. – Ale czy zechciałabyś zostać moją żoną?

Teodora była w szoku. Jak ta gnida śmie? Po tym wszystkim, co przeżywali z ojcem przez ostatnie dni, on, jak gdyby nigdy nic, oświadcza się jej? Wiedziała, do czego ten człowiek jest zdolny, ale żeby coś takiego w takim momencie...? Jednak obiecała matce...

- Tak – stwierdziła cicho i bez entuzjazmu.

- To dobrze, bardzo dobrze! – ucieszył się von Somnitz. – Przepraszam. Zapomniałem się trochę. Panie von Osten – zwrócił się Helmut do ojca Teodory – pozwoli pan, że udamy się do pastora, omówić szczegóły.

- Pójdę z wami – westchnął staruszek, w głębi serca jednak uspokojony taką nowiną. - ...Ale mam jeden warunek – powiedziała zdecydowanie dziewczyna. - Nie myśl, Helmucie, że nie znam twego wcześniejszego życia. Na pewno nie wiem o wszystkich występkach, lecz te, które znam, wystarczająco mnie od ciebie odrzucają. Jesteś podstępny i obłudny, a serce dawno już sprzedałeś na targu w Lauenburgu. Nie liczę się dla ciebie ja, lecz majątek ojca. Możesz się jeszcze zdziwić. Nie wiem też, jaką biedą kobietę skrzywdziłeś i komu odebrałeś dziecko, które kilka miesięcy temu przywiozłeś wraz ze swoją służką, ale przyjmiesz je do siebie z powrotem. Dasz mu kochający dom, a ja dam mu siebie jako matkę.

- Podobasz mi się, Teodoro, jesteś wyjątkowo inteligentna... Niech ci będzie, przystanę na takie warunki. Kto wie, może się dla ciebie nawet zmienię...

Ślub był cichy, wszyscy przeżywali jeszcze żałobę po Marii. Mijały miesiące, mały Albert, bo tak nazwano dziecko, rósł w zdrowiu, natomiast Helmut, mimo przysięgi złożonej przed ołtarzem, ani trochę się nie zmienił. Nadal regularnie wyjeżdżał za granice powiatu, a Teodora dobrze wiedziała, że nie są to podróże w interesach. Majątek w Janowicach został wprawdzie uratowany od bankructwa, lecz ludzie, którzy mieszkali we wsiach należących do von Somnitza narzekali na niego bardzo. Wyjątkowo polubili jednak młodą Teodorę, która dzielnie kontynuowała dzieła swojej matki, zarówno w majątku ojca jak i swojego męża. Życie z Helmutem często sprawiało jej ból. Wiedziała dobrze o jego kochankach, z resztą on nawet się z tym nie krył. Zima była więc dla niej czasem bardzo smutnym.

Gdy na początku marca zaczęły się roztopy, stała się jeszcze smutniejsza, gdyż zachorował Albert. Teodora pokochała go jak swoje własne dziecko i była gotowa zrobić wszystko, byleby tylko maluch wyzdrowiał. Z dnia na dzień jednak było tylko gorzej, lekarze rozkładali ręce, a zapalenie płuc postępowało coraz szybciej. Zrezygnowana, posłuchała nawet rady służki Anny, która pomimo, iż była zamieszana w całą aferę, stała się jej serdeczną przyjaciółką. Ta poleciła jej udać się do znachora, który mieszkał w Krępie, na skaju lasu nad łąkami. Teodora poszła więc z nadzieją, że może on będzie jej w stanie pomóc.

- Nie wiem już, co robić. Lekarze są zrezygnowani, dziecko się męczy, a ja nie mam siły i nadziei. Pomóż nam, dobry człowieku, bo nawet na męża nie mogę liczyć.

- Droga Teodoro, jest ratunek dla malucha. Przede wszystkim, musisz uwierzyć, że Albert wyzdrowieje. Gdy to już ci się uda, idź na mokradła nad rzeką. Musisz uważać, bo bagno jest wyjątkowo zdradliwe. Znajdziesz tam pewną roślinę, poznasz ją od razu. Serce powie ci, która to jest. I nie przejmuj się, że jest marzec. Wiara potrafi uczynić cuda. Poziom wód jest wysoki, ale ufam, że dasz radę. Ja niestety jestem za stary i nie jestem w stanie wyjść do lasu, nie mówiąc już o przeprawie przez bagno.

- Wierzę, dziadku i pójdę nawet do piekła, aby tylko wszystko wróciło do normalności.
- Idź zatem i nie bój się o dziecko. Zostaw je tutaj, a ja zaopiekuję się nim do twego powrotu.

Teodora przedzierała się przed mokradło. Cisza, która ją otaczała, była wręcz przerażająca, lecz kobieta wierzyła, że jej się uda. Każdy krok musiała przeanalizować, każdy mógł być tym ostatnim... Idąc tak, miała dużo czasu i wciąż nad czymś rozmyślała. Najpierw przez głowę przewinęło jej się bez troskie dzieciństwo w janowickim dworze, młody ojciec i uśmiechnięta matka. Następnie ochronka, praca na rzecz wsi, wszystkie zabawy, uroczystości... I ci, dla których to robiła. Nie wiedziała, jak to jest możliwe, ale przed oczami miała teraz twarze wszystkich tych osób, z którymi przez cały ten czas żyła. To byli ludzie prości, szczęśliwi, mieszkańcy okolicznych miejscowości: Janowic, Krępy, Gęsi, Rozgórza... I Helmut. Miała do niego żal za to wszystko, co wyrządził jej i innym ludziom. Tyle płaczu, tyle cierpienia i tyle zła za przyczyną jednego człowieka...

Przerwała rozmyślenia, bo coś kazało jej spojrzeć w dal. Między suchymi drzewami, sterzącymi z wody wierzbami i kępami tataraku, dostrzegła coś, co przywróciło jej radość. To musiała być ta roślinina, o której mówił znachor. Zaczęła kierować się w jej stronę. Poczuli, że przy tym zapada się coraz głębiej w bagno, a dookoła spowijać wszystko zaczęła gęsta mgła.

- Czemu ty, ziemio, jesteś tu taka zdradliwa? Tyle dobra mogłabyś przynieść, tyle plonów i pastwisk... Ludzie się ciebie boją, niewdzięczna ty jesteś, niedostępna... Ale pozwól mi chociaż na tych parę kroków, pozwól dotrzeć do celu i dać zdrowie temu biednemu dziecku! A jeśli nie wrócę, bądź życzliwa chociaż dla tych wszystkich dobrych ludzi, którzy tu mieszkają. Daj im ciepło, jakie daję matczyne serce, daj im siłę i mądrość, jaką daję ojcowska miłość. Ale daj to wszystko tylko ludziom dobrym. Dla złych bądź nieurodzajna i zdradliwa, nie pozwól im po tobie stąpać, nie daj im tej miłości, której oni nie są w stanie dać drugiemu człowiekowi...

Nikt nie wiedział, co stało się z młodą włóścianką z Gęsi. Gdy Helmut wrócił pod koniec marca z Koszalina, w dworze nie zastał ani syna, ani żony. Służba mówiła, że Teodora wzięła go na ręce i poszła do zielarza z Krępy. Co ciekawe, nigdzie nie było też służki Anny. Ludzie mówili, że poszła szukać Teodory na bagna nad rzeką. Helmuta niewiele to wszystko interesowało. Żona widać zwariowała i utopiła się gdzieś na mokradłach. Dziecko? I tak miał się go pozbyć. A za służącą przecież nie będzie płakał. Z resztą, szła wiosna i bardziej interesował go postęp prac w polu. Ten rok nie był jednak dla niego dobry: na folwarcznych polach panował nieurodzaj, susza na zmianę z ulewnymi deszczami wyniszczyła i to liche zboże, które weszło. Nie inaczej było w kolejnych latach. Majątek von Somnitsa zaczął popadać w ruinę, Otto von der Osten, gdy dowiedział się, za kogo wydał córkę i przez kogo zginęła, nawet nie miał zamiaru mu pomagać.

Helmut coraz częściej zaczynał sprawiać wrażenie, jakby powoli odbierało mu zmysły. Pewnego roku zabronił wyrębu lasów. Tych, którzy mimo zakazu próbowali pozyskać drewno, karał nad wyraz surowo. Ludzie bali się o swój los. Komórki świeciły pustkami, a nie było nawet czym napalić pod kuchnią, aby ugotować obiad. Co niektórzy zaczęli kupować drewno z sąsiednich majątków, a ci, których nie było na to stać, palili czym popadło. Biedę potęgował wieczny nieurodzaj na polach.

Pewnego ranka we wsi pojawił się wędrowiec. Młody, dobrze zbudowany mężczyzna, nie przypominał włóczęgi. Z twarzy podobny był raczej do arystokraty, lecz ogólny jego wygląd przeczył takiemu sądowi. Zatrzymał się w leżącej na pograniczu Krępy i Gęsi chałupie, należącej do

starej, samotnej kobiety. Wieczorem wszyscy zebrali się dookoła domu, żeby posłuchać, jakie wieści niesie wędrowiec.

- Doszły mnie słuchy, jaka u was bieda. Ludzie mówią też, że stary Somnitz zwariował. Nie wiem, ile w tym prawdy, mogę wam jednak pomóc zdobyć opał na zimę. Jutro rano stawcie się wszyscy ze szpadlami, widłami i jedzeniem. Weźcie ze sobą taczki i wysokie buty. Spotkamy się tam, na skraju do lasu – wskazał ręką drzewa, które oddzielały wieś od podmokłej doliny.

- Ale tam jest bagno! Nikt jeszcze stamtąd nie wrócił! – krzyčeli ludzie.

- Niczym się nie martwicie! Musicie uwierzyć, a wszystko będzie dobrze. Jeśli macie czyste serca, nie musicie się przejmować.

Nazajutrz, tak jak kazał wędrowiec, chłopci zgromadzili się pod lasem z całym wymaganym sprzętem. Mężczyzna zaprowadził wszystkich w dół doliny, gdzie rozciągały się mokradła. Gdy wyszli spod drzew, ludzie nie mogli uwierzyć własnym oczom. Tam, gdzie jeszcze kilka lat temu nie dało się postawić nogi, rozciągały się zielone łąki, regularnie poprzecinane kanałami, w których srebrzyła się woda.

- Niech każdy wybierze sobie swoją działkę i kopie. Ziemię wycinajcie w formie prostokątnych kostek i układajcie na słońcu, a jak przeschnie, to zwoźcie je do domów.

- Nie słuchajcie go, bzdury gada! Jak ziemią mamy w piecach palić? Prawda to, jesteśmy zdziwieni, bo do niedawna wszędzie tu stała woda, a teraz zielone łąki, ale takie bujdy nie dla nas! – odezwał się któryś z chłopów.

- Jeśli ktoś nie wierzy, niech wraca do domu. Spróbować zawsze możecie, co wam szkodzi – odezwał się wędrowiec. Lecz ludzie już kopali, bo co innego mieli zrobić? Wierzyli, że mężczyzna ich nie oszukuje, resztą i tak nie mieli nic do stracenia. Gdy pierwsze kostki wyschły, ktoś ułożył je w stosik i spróbował podpalić.

- Ludzie! To się pali! I to lepiej jak drewno! – krzyčzał rozgorączkowany.

- Powsinoga miał rację! – mówili inni. Nikt już się teraz nie obawiał o to, jak przetrwają zimę. Wszyscy, gdy tylko mieli wolną chwilę, ciągnęli na łąki nad Łebą i kopali torf.

Gdy Helmut von Somnitz o tym usłyszał, roześmiał się tylko. Nie wierzył w te brednie i traktował to raczej jako akt desperacji prostych ludzi.

Kiedy przyszły mrozy, w każdej chałupie było nagrzane tak, że śnieg na dachu się topił. Jedynie we dworze było chłodno, bo mimo, iż von Somnitz miał zapasy drewna, to dawało ono znacznie mniej ciepła. Pewnej wyjątkowo mroźnej nocy dziedzic przystawił łóżko pod sam kominek...

- Ludzie, dwór się pali! – krzyknął ktoś ze służby, która mieszkała w oficynie obok. Płomień strzelał pod niebo, dookoła słyszeć było trzask pękających dachówek i huk ognia. Mieszkańcy wsi zebrali się wokół tego strasznego widowiska, nie zdołali jednak uratować budynku.

Nazajutrz, wszyscy już wiedzieli, że w pożarze zginął Helmut von Somnitz. Tłum okalający dymiące zgliszcza, głośno komentował wydarzenia ostatniej nocy.

- Szkoda człowieka, mógł jeszcze pożyć...

- E tam, szkoda! Sknera był i krwio pijca, należało mu się! – padały głosy. Nagle ktoś przytomny zawołał:

- Ludzie! Podziękujmy powsinodze! Przecież nie będzie kolejnej okazji, żeby wszyscy byli w jednym miejscu.

Dopiero teraz zwrócono uwagę, że obok stoi wędrowiec, który kilka miesięcy temu, przychodząc do wsi, przyniósł ze sobą tyle dobra i ciepła. Odganiając się od ludzi, dopchał się do schodów dworu. Gdy tłum zamilkł, młodzieniec zaczął mówić:

- Moi drodzy! Nie mi powinniście dziękować, bo ja wam jedynie pozwoliłem uwierzyć. Torf na łąkach nad Łebą jest darem, darem dla każdego dobrego człowieka, który zechce uwierzyć. To czarne złoto, cenniejsze dla was od wszystkich klejnotów i całego bogactwa świata. Jest to dar nikogo innego, jak mojej matki i wszystkich tych, którzy pokochali tę pomorską ziemię i ludzi tu żyjących tak, jak ona. To ciepło ich serc was ogrzewa. Serc, które na zawsze pozostaną w tej ziemi.

- Jak to: matki? Kim ty jesteś, człowieku? – zaczęli dziwić się ludzie.

- Nie jestem nikim nadzwyczajnym. Wędruję przez cały kraj, a nazywam się Albert Somnitz.

- Synu! – krzyknął ktoś z tłumu. Była to ta samotna kobieta, u której się zatrzymał. - To ja jestem twoją matką, ja - Johanna! Teodora się tobą zaopiekowała, przyjęła do własnej piersi, utuliła do serca... Zrobiła to za mnie i ten tytuł się jej należy. Ale jesteś też moim synem...

Nikt nie mógł wyjść z podziwu nad tymi niezwykle zdarzeniami. Ludzie jednogłośnie stwierdzili, że skoro ten człowiek dał im tyle dobra, był synem von Somnitz, a matkowała mu Teodora, powinien objąć majątek ojca. W niedługim czasie poślubił bratanicę Otta von der Osten, nazwaną na pamiątkę zaginionej tak jak ona – Teodora. Odbudowali oni dwór, a ziemia znów zaczęła rodzić tak, jak robiła to ponad dwadzieścia lat temu. Do tych kilku wiosek, leżących nad brzegiem Łeby, powróciło szczęście i dobrobyt. Natomiast wiosenno – letnie kopanie torfu stało się na tych ziemiach tradycją, celebrowaną jak największe święto.

- No, Władziu, zaskoczyłeś mnie teraz. Że ty to wszystko pamiętasz... Normalnie w szoku jestem.

- Powiem ci, Józus, sam się nie spodziewałem, że ta historia tak mi się wryła w pamięć. Jakoś tak gładko szło...

- Jak ty mówiłeś, że jak nazywała się ta twoja sąsiadka?

- Konkel... O, cholewka! Faktycznie, Józek, tak jak tamta służąca! Licho wie, co tu jest grane.

- Wiesz co, Władziu, jakoś tak nieswojo mi się robi. Ściemnia się już i zobacz, jaka mgła od rzeki idzie.

- Masz rację, Lebioda, trzeba się zbierać. Gdzie te krowy tam w krzaki polazły! O rany, jak mnie plecy bolą! Nie trzeba było siadać na tym moście. Chodź, Józek, idziemy doić.

- Władziu, poczekaj jeszcze... Odwróć się i spójrz w mgłę.

- O matko! Kobieta....!

II miejsce:

Borys Prokopczuk

W imię człowieczeństwa

Łuny pożarów rozświetlały jasno marcowe niebo nad miastem. Płonęła duża część Lęborka, praktycznie całe stare miasto. Paliła się bez sensu. Niemcy nie stawili tu żadnego oporu, a pożar wywołany został już po rozbrojeniu ostatniego Niemca w mieście. Taka była prawda, ale oficjalne meldunki mówiły co innego. Kapitan Jewgienij Paszkow siedział na pancerzu swojego czołgu i obserwował szalejące płomienie. Wielkie, złote języki odbijały się w wodach rzeki Łeby. Kapitan znał prawdę i był wściekły na swoich towarzyszy. Odkąd wkroczyli na niemieckie terytoria, prawie każdego dnia był świadkiem okrucieństw. Oczywiście, widział też okrucieństwa Niemców, wiedział, że najechali jego kraj i rozumiał chęć zemsty swoich kolegów. Lecz i tak - brzydził się nią. Patrząc na łuny nad niemieckim Lęborkiem myślał o tym, że nie różnią one niczym od łun, które widział nad Kijowem, Smoleńskiem i innymi miastami jego ojczyzny. Nagle kapitana z rozmyślań wyrwał warkot silnika. Spojrzał w stronę skąd dochodził dźwięk. Przed kapitańskim czołgiem zatrzymał się mały, nakryty plandeką gazik. Wyszedł z niego chudy żołnierz okryty przeciwdeszczową pałatką.

- Czołem, towarzyszu kapitanie! - odezwał się żołdat i przystawił rękę do furażerki.

- Czołem.

- Rozkazy ze sztabu pułku, towarzyszu kapitanie.

- Mów.

- Czołg wasz wspomóc ma 321 pułk strzelców. Germańcy mają bunkry w lesie na północy, nasi nie mogą pójść dalej. Macie wyruszyć natychmiast.

- Zrozumiałem. Możecie odejść, żołnierzu - kapitan nie odrywał wzroku od pożogi.

- A wasi... Wasi załoganci, towarzyszu kapitanie? Gdzie oni?

- Nie wiem. Pewnie gdzieś niedaleko.

- Gdzieś... Nie...

- Możecie odejść, żołnierzu.

Goniec w pałatce otworzył usta jakby chciał coś powiedzieć, ale widząc, że oficer nie zamierza go nawet spojrzeniem zaszczyścić, kiwnął jedynie głową, zasalutował i wsiadł z powrotem do swojego gazika.

- Niczego nie widzę! - warknął Anton Dywinkow, kierowca czołgu kapitana Paszkowa. – Dlaczego kazali nam jechać w nocy?!

- Włącz reflektory - powiedział Paszkow stojąc we włazie.

- Są włączone! I nic nie dają!

- Jedź, Anton! Ja stąd wszystko widzę, będę cię kierował.

Kapitan, oparty na zasłonie włazu, chwycił wiszącą na jego piersi lornetkę i spojrzał przez siebie. Oddalali się od łun pożarów i robiło się coraz ciemniej. Ściana lasu, do której się zbliżali, zlewała się swoim ciemnym odcieniem z zachmurzonym niebem. Paszkow skierował okulary lornetki w stronę linii drzew. Wśród niej dostrzegał co chwila jasne, krótkie rozbłyski. Co jakiś czas pojawiał też się dłuższy błysk, trwający kilka sekund. "Cekaemy" - pomyślał kapitan. Gdy nieco się zbliżyli, do chronionych hełmofonem uszu Paszkowa zaczęły docierać odległe, ledwo słyszalne dźwięki wystrzałów, przypominające bar

dziej dźwięk bąbelków w wodzie gazowanej. Czołg kapitana jechał dalej.

Droga była w tragicznym stanie. Pomimo praktycznie nieistniejącego oporu Niemców w mieście, dowództwo 101 Dywizji Strzelców Gwardii nie odmówiło sobie potężnego przygotowania artyleryjskiego przed szturmem. Armaty strzelały praktycznie na ślepo, nie wiedząc gdzie jest wróg i mając za cel odniesienia wieże lęborskich kościołów.

- Stój, Anton - powiedział kapitan do słuchawki w hełmofonie. - Rozbita ciężarówka przed nami, omiń ją.

- Widzę, panie kapitanie - Uszakow usłyszał w module głos kierowcy. - Nie lepiej ją zmiażdżyć?

- Nie. Omijaj, Anton.

Czołg nagle gwałtownie zahamował, silnik warknął tak, że kapitan bał się, że przestał działać, ale po chwili cały pojazd obrócił się i zjechał na pobocze. Gdy minęli wrak niemieckiego Opla, oczom kapitana i reszty załogantów ukazał się wiszący na niskiej gałęzi człowiek. Młody chłopak w niemieckim mundurze. Paszkow nie widział jego twarzy i ledwo rozróżniał koślawe litery na drewnianej tabliczce na jego szyi. Ze zdania po niemiecku rozumiał tylko wyraz "Verräter" - zdrajca. Widzieli już takich wcześniej. Zazwyczaj byli to starcy lub młokosy, nastolatki nawet, często z czerwono-czarną opaską głoszącą "Volksturm" na rękawie munduru i z tabliczką "Verräter" albo "Feigling" na szyi. Kapitan dokładnie pamiętał pierwszego, jakiego widział. W Królewcu, niespełna dwa miesiące temu. Verräter wisiał na latarni przy królewskim dworcu kolejowym, pobity, z rozbitymi wargami, jedno oko miał zasiniowane, a drugim, martwym, ale dzikim łypał na gromadzących się pod jego latarnią i szydzących z niego sowietów. Wtedy, w Królewcu kapitan odwrócił wzrok. Teraz też odwrócił.

- Słyszeliście silnik, kapitanie? - zapytał głos Antona w hełmofonie. - Zarządził jakby miał teraz, tutaj stanąć i już nigdy nie odpalić.

- Słyszałem. Jedź dalej, Anton. Czołg kapitana Paszkowa oddalał się od miasta Lęborka.

Bąbelki w wodzie gazowanej przemieniły się już w głośnie wystrzały z karabinów, krótkie serie z pepesz i przypominające jazgot pił tarczowych serie z niemieckich bunkrów. Czołg Paszkowa zatrzymał się jakieś sto metrów przed linią drzew, skąd dochodziły strzały. Tam za ciężarówką kryło się kilku żołnierzy.

- Czekajcie na mnie, Anton - powiedział kapitan i wyskoczył przez właz za błotnik czołgu, a potem jednym susem przeskoczył za ciężarówkę. - Kapitan Paszkow, Trzecia Gwardyjska Pancerna - przedstawił się pośród pił i pepesz.

- Jewgienij?! - usłyszał znajomy głos.

- Misza?! - kapitan spojrzał w znaną twarz.

- Jewgienij! Dobrze, że jesteś! I to jeszcze ze swoją kawalerią!

Obaj żołnierze się roześmiali się, a stary przyjaciel kapitana Paszkowa, strzelec wyborowy Michał Szepielew poprawił za duży na jego głowę hełm.

- Szwaby nas tu przygwoździli - mówił Misza. - Mają w lesie bunkry i cekaemy. Próbowałem pozdejmować strzelców, ale jest za ciemno. Nic nie widzę.

- Nie mogliście wezwać artylerii? - zapytał Paszkow.

- Jesteśmy za blisko, a ten gnój Żdanow nie pozwala nam się cofnąć! Znasz go?

- Nie.

- To dobrze. To z rodowodu NKWD-zista! Jego stary był w Czece!

- Przejadę czołgiem przez drzewa, Misza?

- Chyba tak. Wjeżdżaj tam i wal po bunkrach! My się już resztą zajmujemy.

Kapitan przytaknął i biegiem rzucił się z powrotem do swojego pojazdu. Wspiął się na błotnik, potem na wieżę, wszedł do środka i zamknął właz.

- Do przodu, Anton! - rozkazał przywierając okiem do peryskopu.

- Ta jest! - odrzekł kierowca i szarpnął sprzęgłem.

Całym czołgiem rzuciło, a silnik znowu wydał dźwięk, który wróżył jego rychłe popsucie. Pojazd jednak ruszył z warkotem i szcękaniem gaśienic. Szepielew miał rację, czołg bez problemu zmieścił się między drzewami i wjechał do lasu.

- Uważaj, Anton, nie przejeżdż po jednym z naszych.

- Nic nie widzę, kapitanie, musicie mnie kierować!

Po chwili przez szkło peryskopu kapitan dostrzegł przed nimi wyróżniający się w ciemnym lesie blask serii z karabinu. Zaraz w środku czołgu dało się słyszeć jakby deszcz obijający się o metal pancerza.

- Walą do nas, kapitanie! - krzyknął Anton.

- Wiem! Widzę ich! Ładujcie burzący!

Ładowniczy, wielki, praktycznie wcale nie odzywający się chłop, zaciągnięty z jakiejś syberyjskiej wioski, nagle poderwał się z miejsca i zupełnie bez trudu wziął ze specjalnego przedziału z tyłu wieży prawie dziesięciokilogramowy pocisk. Działonowy, kolejny syberyjski waligóra otworzył zamek armaty, a jego kolega włożył do niej pocisk.

- Gotowe, kapitanie!

- Strzelaj!

Nagle całym czołgiem zatrzęsło, a kapitan obserwował przez peryskop, jak niewyraźny zarys bunkra przed czołgiem ze strasznym hukiem wylatuje w powietrze, posyłając we wszystkie strony ziemię i drzazgi z drewnianych pali podtrzymujących konstrukcję. Deszcz na pancerzu ustał, a po chwili kapitan usłyszał też niewyraźne wiwaty dookoła czołgu.

- Trafione! Pięknie! - wrzasnął Paszkow - Anton, naprzód.

Pojazd pojechał naprzód. Zaraz też deszcz wrócił, teraz z lewej strony.

- Obrót w lewo!

Gdy kierowca wykonał rozkaz, przed szkłem peryskopu Paszkowa pojawił się kolejny, podobny do poprzedniego bunkier błyskający wystrzałami.

- Kolejny burzący!

Dwaj syberyjscy czołgiści w kilka chwil załadowali kolejny pocisk.

- Gotowe!

- Ognia!

Tym razem bunkier przetrwał. Pocisk wybuchł kilka metrów na lewo od niego, jedynie osypując schron ziemią. Kapitan już chciał wydać kolejny rozkaz, ale nagle bunkier zgasł i zamilkł, a deszcz na pancerzu ustał. Paszkow dostrzegł jak zza ziemnego nasypu wyłaniają się niewyraźne postacie z rękami w górze.

- Stać! Anton, wychodzę!

Kapitan otworzył właz, wyszedł z czołgu i zeskoczył na ziemię. Sięgnął do pasa po rewolwer i wycelował go w idących w jego stronę kapitulujących. Po chwili też dołączyło do niego kilku innych żołnierzy w pałatkach i z pepeszami. Paszkow wystąpił naprzód i teraz już dokładniej widział swoich przeciwników. Wyglądali jak ten Verräter z gałęzi - młodzi chłopcy w pomiętych feldmycach i podartych płaszczach z opaską "Volksturm" na ramieniu. Jeden z nich, wyglądał na

najstarszego, mógł mieć jakieś siedemnaście lat, przemówił. Nie mówił po niemiecku. Kapitan nie wiedział po jakimu. Po polsku?

- To nie Niemcy? - zapytał jeden z żołnierzy.

- Nie - odrzekł kapitan.

- Nie - Niemiec w niemieckim mundurze mówił dalej drżącym głosem, a Uszakow wyłowił z jego mowy parę słów.

- To nie Niemcy - powiedział. - Wzięli ich do wojska, ale nie chcą walczyć. To... Kaszubi... Chyba.

- Jo, jo, me kaszebi! - chłopak kiwnął głową.

- Mielicie szczęście - rzekł Paszkow patrząc w twarz Kaszuba. - Wracaj...

- Co tu się dzieje?! - kapitanowi przerwał nagle jakiś głos.

Czołgista odwrócił się. W ich stronę szedł wysoki i chudy mężczyzna w wysokich, jeździeckich butach, szarym płaszczu i granatowej czapce z daszkiem.

- Co robicie, towarzysze? - zapytał mężczyzna.

- Pragnę zameldować, że pojaliśmy jeńców, towarzyszu komisarzu - oznajmił jeden z żołnierzy wyprężony jak struna, przyciskając pepeszę do wypiętej piersi - Ale to nie Niemcy.

- Nie Niemcy? - zapytał towarzysz komisarz. - To kto?

- Kaszubi - odrzekł kapitan, a najstarszy Kaszub znowu kiwnął głową.

- Kaszubi... A towarzysz to właściwie kto?

- Kapitan Paszkow.

- Uszanowanie, kapitanie - uśmiechnął się komisarz. - Jestem komisarz Żdanow. Mówicie, że to

Kaszubi, towarzyszu kapitanie?

- Zgadza się, komisarzu.

- To dlaczego mają na sobie niemieckie mundury?

- Zostali siłą wzięci do armii niemieckiej.

- Hmm... - komisarz Żdanow uniósł brwi i zmierzył Kaszubów wzrokiem. - Nie wiercie im, kapitanie. Mi wyglądają na tych fanatyków z HJ. Są niebezpieczni.

- Towarzyszu komisarzu, to dzie...

- Rozstrzelać ich. Są młodzi i fanatycznie faszystowscy. Rozstrzelać!

Nagle w lesie zapanowała cisza. Żaden z sowieckich żołnierzy nie uniósł swojej broni. Stali skacząc wzrokiem między sobą, ich więźniami, a Żdanowem.

- Rozstrzelać! - powtórzył NKWD-zista.

Dalej nikt nie uniósł broni.

- Psie syny! - Żdanow zacisnął zęby i wyjął swój rewolwer, i przystawiając lufę do piersi najstarszego Kaszuba, wypalił. Nawet nie spojrzał, gdy chłopak padał martwy na ziemię. Odwrócił się do swoich żołnierzy z dzikim wzrokiem.

- Już! Strze...

Nagle w uszach komisarza zadzwoniło od uderzenia w twarz. Pod wpływem pięści kapitana Paszkowa Żdanow zatoczył się, a gdy odzyskał równowagę, skierował rewolwer z powrotem w pozostałych Kaszubów. Jednak lufa zamiast w więźniów wycelowana była w kapitana. Czołgista stanął między NKWD-zistą a jeńcami.

- Co robisz, Paszkow?!- warknął komisarz.

- Co robisz, Żdanow?! - odkrzyknął Paszkow. - To tylko dzieci! Wzięte przymusem! Poddali się!

- To fanatycy! Hitlerowcy! Faszysty!

- Fanatyk się nie poddaje! Wiem, co mówię!

- Odsuń się! I tak czeka cię sztrafbat! Uderzyłeś komisarza politycznego!

Czołgista nawet nie drgnął.

- Strzelę, kapitanie.

- Spróbuj.

Komisarz uśmiechnął się krzywo i spróbował. Strzelił. Wystrzał rozniósł się echem po całym lesie, a kapitan Paszkow znieruchomiał. Zamglonymi oczyma spojrzał najpierw na ranę w swojej piersi, a następnie na Żdanowa. Padł na kolana, a potem na ziemię i skonał.

- Psi syn - komisarz wysyczał przez zęby. - Ktoś jeszcze ma jakieś obiekcje?! - odwrócił się do swoich żołnierzy. - Strzelać!

Żdanow znowu podniósł rewolwer, znów w stronę Kaszubów i po lesie rozległ się kolejny strzał. Jednak żaden z więźniów nie padł martwy. Na ziemię osunął się Żdanow, charcząc przez przestrelone gardło. Pozostali przy życiu sowieci rzucili się na ziemię, oczekując kolejnego strzału ukrytego niemieckiego strzelca wyborowego. Strzał jednak nie nadchodził. Zamiast tego idąc powolnym krokiem zza drzew wyłonił się Michaił Szepielew z karabinem w dłoni.

- Żdanow zginął od zbłąkanej niemieckiej kuli - powiedział, powoli cedząc słowa. - Tak się na wojnie dzieje, ale i tak nie chcę być w pobliżu, gdy jego koledzy z NKWD zaczną się tym interesować. Idziemy stąd.

Dwa niewielkie, chude skrzaty leśne z siwymi brodami siedziały przed wykopaną przez siebie mogiłą. Ułożyły przed nią stosik z hełmów, które zdjęły z poległych żołnierzy, a na jej szczycie postawiły zbitą z krzywych desek krzyż. Jedynie ciało komisarza Żdanowa leża

ło nietknięte, tamgdzie NKWD-zista padł. Jemu kaszubskie skrzaty najwyraźniej odmówiły pochówku.

- Wojna to starsza rzecz, mój przyjacielu - powiedział chochlik, wpatrując się w ułożone hełmy.

- Zgadza się - odrzekł drugi. - Nikt za parę lat nie będzie wiedział, gdzie oni wszyscy leżą. Każdy

zapomni, że tutaj bohaterski kapitan Paszkow oddał życie w imię człowieczeństwa.

- Nikt nie będzie pamiętał, gdzie jego ciało... Lecz będą wiedzieć, gdzie jego dusza.

Zofia Szmyd

Legenda o przeklętej duszy z Charbrowa

Wśród rozległych borów i mglistych mokradeł, gdzie ziemia skrywa więcej tajemnic, niż ludzie odważą się wyznać, wznosił się okazały pałac w Charbrowie. Był to dom dumnego rodu, którego panowie od pokoleń władali okolicznymi ziemiami. Mury, choć piękne, skrywały mrok, a wśród służby krążyły szept o ukrytych przejściach i lochach pod fundamentami – miejscach, do których zapuszczali się tylko ci, którzy nie mieli już nadziei na powrót. To właśnie tutaj mieszkał Eryk, jedyny syn pana. Młodzieniec, zamiast uczyć się sztuki wojny i rządzenia, spędzał czas wśród borów. Pewnego ranka, gdy słońce dopiero przebijało się przez mgły, Eryk spotkał Ravenę – wiedźmę z Wicka. Była piękna, choć jej uroda miała w sobie coś nienaturalnego, jakby należała do innego świata. Ludzie mówili, że znała mowę roślin i tajemnice gwiazd, że jej ręce mogły leczyć i zabijać. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, a ona – choć wiedziała, że nie wolno jej kochać śmiertelnika – nie potrafiła się oprzeć. Spotykali się w sekrecie, aż w końcu ich miłość wyszła na jaw. Ojciec Eryka, rozwścieczony, kazał synowi natychmiast zakończyć ten romans. Gdy ten odmówił, zamknął go w podziemiach pałacu, chcąc złamać jego wolę. Ale Eryk uciekł. W noc bezgwiezdną, pod osłoną burzy, zbiegł do lasu, by odnaleźć Ravenę. Nie wiedział jednak, że wiedźma, zrozpaczona i przerażona losem, jaki ich czekał, postanowiła rzucić zaklęcie. Chciała uciec, ale by to zrobić, musiała związać swoją duszę z duszą ukochanego. wśród drzew panowała złowroga cisza. Eryk, przemoknięty od deszczu, w końcu odnalazł Ravenę w kamiennym kręgu pośród borów. Jej czarne włosy lepiły się do twarzy, a oczy błyszczały w świetle błyskawicy.

— Uciekniemy. Razem. Powiedz tylko, co muszę zrobić. — Jego głos był pełen determinacji.

Ravena wahała się, ściskając w dłoniach garść ziół, z których unosił się słodko-gorzki zapach magii.

— Nie rozumiesz, Eryku... To nie jest takie proste. — Jej szept ledwo dało się usłyszeć przez szum wiatru.

— Nie obchodzi mnie, co mówią ludzie. Kocham cię! Znajdziemy sposób, by być razem.

Wiedźma spojrzała na niego z bólem. W jej oczach było coś, czego Eryk nie potrafił odczytać – tęsknota, ale i strach.

— Jest tylko jeden sposób... — powiedziała w końcu, wyciągając rękę w jego stronę.

— Cokolwiek to jest, zrobię to.

Ravena zamknęła oczy. Czuła, jak magia pulsuje w jej ciele, jak zaklęcie splata się z ciemnością. Musiała to zrobić. Musiała uwolnić się od tej ziemi.

— Twoja dusza... — wyszeptała.

Eryk zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

— Co z moją duszą?

— Muszę ją wziąć. Wtedy będziemy razem... na zawsze.

Na chwilę zapadła cisza, którą przerywał tylko szum wiatru. Eryk spojrzał na Ravenę, a w jego oczach nie było strachu – tylko miłość. Ślepy na przestrogi, zaufał uczuciu ponad rozsądek i zapłacił za to swoją duszą.

— Jeśli to cena za naszą miłość... niech tak będzie.

Ravena podeszła bliżej, dotknęła jego piersi lodowatą dłonią. Serce Eryka zabiło szybko... a potem nastała cisza. Ostatnie, co zobaczył, to łyzy na jej policzku i szept, który zabrzmiał jak klątwa:

— Wybacz...

Ale było już za późno.

Na starym, zapomnianym cmentarzysku, Eryk oddał jej swoje serce. Jego dusza została wyrwana, a ciało padło bez życia. Ale magia jest nieprzewidywalna. Dusza Eryka wcale nie przeszła na drugą stronę – zamiast tego została uwięziona w pałacowych podziemiach. Jego cień błąka się po mrocznych korytarzach, szepcząc imię wiedźmy, którą kochał. Mówią, że ci, którzy zapuszczają się tam o północy, mogą usłyszeć jego głos – cichy, pełen bólu. Niektórzy twierdzą, że widzieli bladego ducha o oczach pełnych żalu, który próbuje dotknąć ich ramienia, jakby błagał o uwolnienie. Charbrowa, musi być gotów na spotkanie z duszami, które nigdy nie zaznały spokoju ani miłości która, prowadzi do szczęścia. A co z Raveną? Choć kochała, nie potrafiła porzucić swojej natury i przez jedno zaklęcie straciła wszystko. Jedni mówią, że uciekła i do dziś kryje się w lesie, wiecznie młoda i przeklęta, skazana na życie w samotności. Inni wierzą, że jej własne zaklęcie odbiło się na niej i zamieniła się w kruka, który co noc przysiadł na dachu pałacu i kracze żałośnie, wzywając ukochanego. Ale najstarsi mieszkańcy Charbrowa twierdzą – że wiedźma wróciła do podziemi i wciąż tam jest. Niewidzialna, uwięziona przez własną magię, błąka się w ciemnościach, próbując odnaleźć duszę, którą zdradziła. I może pewnej nocy, gdy wichry będą szaleć nad pałacem, ich los się odmieni, a Eryk i Ravena odnajdą się pośród cieni.

III miejsce:

Dorota Suszko

Wiele, wiele lat temu, około 1970 roku w Lęborku, w starej kamienicy na ulicy Targowej mieszkał dwudziestopięcioletni Bogusław. Przebywał tam sam oprócz niedziel, kiedy to gościł u siebie rodziców na obiedzie po powrocie z mszy. Bogusław był prawnikiem. W dodatku bardzo pilnym, zawsze wykonywał swoje zadania do perfekcji i w wyznaczonym terminie. Czasami tylko podczas pracy rozmyślał o miłości, ale to nie przeszkadzało mu zbytnio w wypełnianiu obowiązków, gdyż był naprawdę zajęty całą robotą. Jednak kiedy wracał do domu, myśli przychodziły do niego częściej. Pewnej soboty, kiedy Bogusław zgasił już ostatnią

świeczkę na szafce nocnej, usłyszał głos dobiegający z drugiego końca sypialni. Był to wysoki, kobiecy głos. Lecz nigdzie nie było widać twarzy...

- Bogusławie, prędko udaj się na dworzec. Spotkasz tam piękną, blondwłosą kobietę, z którą musisz koniecznie wejść w interakcję. Prędko, Bogusławie! Mężczyzna chciał zadać jeszcze jakiegokolwiek pytanie, lecz nic z tego. Nie wiedząc, skąd właściwie wziął się ten głos, i co miało znaczyć to krótkie przemówienie, starał się nawet nad tym zbyt długo nie rozmyślać. Ubrał szybko długi płaszcz, kapelusz i buty. Po paru minutach był już na miejscu. Za moment zbliżała się północ. Bogusław wypatrywał swojej „wybranki”, lecz nigdzie nie mógł jej zauważyć. Jednak po chwili na dworcu pojawił się zielono-pomarańczowy pociąg, już prawdopodobnie ostatni z możliwych, z którego zaczęła wysiadać garstka zmęczonych podróżą ludzi. A wśród nich...

- Lilianno, uważaj proszę na swoje buciki. Sama wiesz, jak bardzo nasze obuwie lubi się z brudem. Tą ów „Lilianną” była blondwłosa kobieta, ubrana w jasnoróżową sukienkę w kwiatki i również jasne trzewiki. Miała dziewczęcą urodę, lecz pewnie miała około dwadzieścia lat. Zrobiła na mężczyźnie ogromne wrażenie. Natomiast

panną, która mówiła do Lilianny tamte słowa, była... Jej siostra? Bogusław niestety nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. Zamiast wejść w jakąkolwiek interakcję, jak zalecił głos, mężczyzna skinął do pań, uśmiechnął się, i zatrzymał w miejscu.

- Dobry wieczór! – krzyknął.

- Dobry wieczór! – odpowiedziały obie panie.

Po tych słowach kobiety oddaliły się, ale Bogusław postanowił choć raz jeszcze się odwrócić. Dostrzegł, że Lilianna również na niego spoglądała, uśmiechając się lekko. Mężczyzna był przeszczęśliwy!

Bogusław przez cały tydzień rozmyślał o tamtym małym spotkaniu. Czuł nawet lekko, że przeszkadzało mu to w skupieniu się na pracy, ale nie poddawał się. Jednak tamta Lilianna... Przecież ona była przepiękna! A najgorsze było w tym wszystkim to, że przy obiedzie rodzice zaczęli wypytывать syna, czy kogoś ma. Na język przychodziło mu słowo „tak!”, ale chyba nie było to zgodne z prawdą. Mężczyzna tak bardzo pragnął spotkać pannę jeszcze raz... I wtedy, kolejnej soboty, kiedy Bogusław już kładł się do łóżka, znowu usłyszał tamten sam głos.

- Udaj się na dworzec! Panna jest sama! Biegnij, Bogusławie, już prawie północ! Tym razem mężczyzna nawet przez chwilę się nie zawahał. Migiem ubrał się w swoje najlepsze ubrania, po czym pobiegł na miejsce najszybciej jak tylko potrafił. I znów ten sam pociąg. I piękna Lilianna, która z niego wychodziła. Lecz rzeczywiście, była sama. W takim wypadku Bogusław wiedział, że musi wziąć sprawę w swoje ręce.

- Dobry wieczór! – skinął.

- Dobry wieczór – odpowiedziała. – Czy my się przypadkiem nie znamy?

- Zależy, jak na to spojrzeć, droga pani.

Lilianna zaczęła na niego patrzeć ze zdziwieniem, pewnie dlatego, że wydawał się niezwykle tajemniczy.

- Jest tym razem pani sama. Nie bała się pani tu przyjeżdżać w środku nocy?

- Oj, bałam, ale nie miałam innego wyjścia. Moja opiekunka-towarzyszka zachorowała, więc została z pozostałymi w domu, a my mieszkamy w Gdańsku. Tu, w Lęborku, mam rodzinę. Mamę. Odwiedzam ją co tydzień, przywożę jej leki, ubrania.

- Ma pani naprawdę dobre serce. – powiedział cicho. – Czy mógłbym panią odprowadzić, żeby nie szła pani tak sama po ciemku? Po drodze możemy dużo porozmawiać.

- Oczywiście. – rzekła, po czym oboje wyszli z dworca.

- Czyli pracuje pani jako szwaczka w Gdańsku, prawda? I uszyte ubrania dostarcza pani mamie, która mieszka na ulicy Słowackiego?

- Tak, zgadza się. Tylko proszę, przestańmy do siebie tak mówić. Jestem Lilianna.

- Dobrze, droga Lilianno. Mówi Bogusław – po tych słowach zaśmiał się radośnie.

- Miło mi, wielmożny Bogusławie – Lilianna również była tym rozbawiona. – A ty, kim jesteś z zawodu? I co mogę o tobie wiedzieć?

- Jestem prawnikiem. Mieszkam w kamienicy na Targowej. Rodzice do mnie przychodzą co niedzielę na obiad. A tak właściwie, możesz wiedzieć o mnie wszystko, droga pani.

Zapadła chwila ciszy, lecz ich oczy mówiły. Patrzyli się na siebie tuż przed domem, gdzie mieszkała mama Lilianny. Oboje nie chcieli kończyć tego miłego spotkania.

- Muszę już iść – powiedziała. – Ogromnie miło mi było cię poznać. Do zobaczenia, Bogusławie.

- Do zobaczenia, Lilianno.

Na pożegnanie, mężczyzna pocałował ją w policzek, po czym oddalił się.

Bogusław chyba nigdy nie był tak szczęśliwy i przygnębiony w jednej chwili. Ich spotkanie było już trzy dni temu, a w myślach Bogusława cały czas pojawiała się tylko śliczna twarz Lilianny, która opowiadała mu o swoim życiu w Gdańsku jako szwaczka oraz opiekunka mamy. Emocje mężczyzny były tak silne, że postanowił opuścić kamienicę i udać się do Parku Chrobrego. Było to najlepsze miejsce, żeby wyzwolić wszelkie myśli ze swojego przytłoczonego umysłu. Kiedy tak spacerował i mijał kolejno drzewa, nie mógł wytrzymać i krzyknął:

- Kocham ją! Kocham ją! Kocham ją!

Po wypowiedzeniu tych słów, zaczęło się dziać coś dziwnego. Jakby świat wirował, wszystkie drzewa i liście zaczęły się rozmywać, a Bogusław poczuł jak jego ciało robi się lekkie.

- Co się dzieje?!

Tylko tyle zdołał powiedzieć, gdyż całkowicie już stracił przytomność i nie wiedział, gdzie się znajduje.

Dworzec Centralny Lębork – rok 1975

Mężczyzna zaczął na nowo przytomnieć. Był prawdopodobnie sobotni poranek. Ujrzał powyższą tabliczkę na dachu budynku, zastanawiając się, czy na pewno wszystko z nim w porządku. Po chwili zauważył, że koło niego stała Lilianna wraz z małym, prawdopodobnie trzyletnim chłopczykiem.

„Czyli może czas przyspieszył o 5 lat? Jestem z Lilianną? I mamy syna?“, zaczął się zastanawiać jak szalony.

- Pa, tato! – krzyknął do niego chłopiec, wtulając się w jego ramiona.

- Do zobaczenia, kochanie – powiedziała Lilianna, dając Bogusławowi pocałunek prosto w usta. – Opiekuj się domem, jak nas nie będzie. Choć sam dobrze wiesz, że zaraz znów się zobaczymy.

- Wiem, najdroższa. Kocham was. Do zobaczenia!

Ujrzał, jak wsiadają do tego samego, zielono-pomarańczowego pociągu, z którego zawsze wychodziła Lilianna w sobotę o północy. Tylko tym razem był ranek, a więc pociąg jechał z Lęborka do Gdańska, nie odwrotnie. Pociąg już odjeżdżał. Chłopiec oraz kobieta pomachali do Bogusława uśmiechnięci, a on im ochoczo odmachał, myśląc sobie, jak wspaniałe stało się jego życie w przeciągu całych pięciu lat... Na pamiątkę tego wydarzenia, możemy zobaczyć wystawową zielono-pomarańczową lokomotywę na dworcu w Lęborku, którą udawała się w podróż sama Lilianna, a później także wraz ze swoim synkiem. Jest ona symbolem miłości, którą ludzie sobie okazują na lęborskim dworcu, poznając się, żegnając i witając.

Wyróżnienie:

Zuzanna Michalak

Czarowna moc źródła

Dawno temu, gdy ziemie Pomorza pokrywały gęste puszcze, a jedynymi mieszkańcami tych terenów były leśne istoty zwane elfami, istniała tajemnicza, skryta dolina, w której biło cudowne źródło. Miejscowi powiadali o jego niezwyklej mocy mówiono, że kto napije się wody właśnie z owego źródła zyska mądrość, siłę i odwagę, lecz tylko ludzie o czystym sercu mogli je odnaleźć. Wówczas na Pomorzu panował chaos. Plemiona walczyły między sobą. Ludzie żyli w strachu, ukrywając się w lasach i jaskiniach. Wśród tych puszczy schronił się również młody wojownik imieniem Lebor. Nie znał on swojego pochodzenia, gdyż jako dziecko został znaleziony przez starą wiedźmę, która go wychowała. Wiedział jednak, że nie jest zwykłym człowiekiem, a jego los krył wielką tajemnicę. Pewnej nocy, przyśniła mu się tajemnicza kobieta o złocistych włosach i oczach niczym błękitna woda.

- Podążaj za śpiewem wiatru, aż odnajdziesz źródło życia - powiedziała szeptem. Gdy młodzieniec się obudził, nie miał wątpliwości musiał wyruszyć w drogę. Podróż trwała wiele dni. Wreszcie pewnego dnia, pewnego ranka, gdy słońce wzeszło wysoko i wyłoniło się zza chmur, dotarł do tej niezwyklej doliny. Gdy zbliżył się do wody, nagle z cienia drzew wyszła piękna dziewczyna – Luba, strażniczka tegoż źródła.

- Kim jesteś, wędrowcze i czego szukasz? – zapytała śpiewnym głosem.

- Szukam prawdy o sobie i o tym, kim jestem i gdzie przynależę, do jakiego miejsca? – odparł, spoglądając w oczy tajemniczej białogłowy. Luba zaciekawiona spojrzała na niego, bo wiedziała, a raczej zna

ła całą prawdę o nim. Niestety nie mogła mu pomóc, lecz po chwili z jej ust wypłynęły te oto słowa:

- Jeśli twoje serce jest czyste, źródło cię przyjmie. Lebor uklęknął i zanurzył głowę po wodę, wtedy przed jego oczami pojawiły się obrazy. Ujrzał wioski palone przez różne plemiona, ludzi błagających o pomoc a potem siebie samego stojącego na czele wielkiego grodu. Wtedy zrozumiał, że jego przeznaczeniem było założenie grodu, który stanie się schronieniem dla potrzebujących. Lebor pomyślał, że to właśnie tu, w pobliżu źródła zbuduje osadę. Luba i jej ojciec Druid pomogli mu dotrzeć do ludzi, którzy szukali bezpiecznego domu. Wzniesiono tam pierwsze chaty i osada rosła, przyciągając coraz więcej przybyszów. Mijały lata i ta mała osada zmieniła się w potężny gród otoczony solidnymi murami. Ludzie nazwali go Lęborkiem na cześć Lebora, który stał się jego pierwszym władcą i obrońcą. Legenda głosi, że cudowne źródło wciąż bije gdzieś w pobliżu miasta, ukryte w głębi lasu.

Nabój

Luiza Staszyńska

Młyńskie cmentarzysko

W dawnych czasach, kiedy Charbrowo, a dokładniej ul. Młyńska, było małą, urokliwą wsią, nosiło nazwę Sądowo. Sądowo skrywało wiele tajemnic, głównym tego powodem było stare niemieckie cmentarzysko na uboczu ulicy. Mówi się, że w dzień przed tragedią, która miała tam miejsce w nocy, słychać było szepty zmarłych oraz płacz dziecka. Mało tego, wielu ludzi mówi, że widziało zjawę zrozpaczonego mężczyzny. Charbrowski stary cmentarz był miejscem spoczynku wielu niemieckich osadników, którzy zamieszkiwali tamtejsze tereny za czasów I wojny światowej. Wśród nich był stary zarządca wsi, Henry, który zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Ciała zarządcy nie znaleziono do dziś. Podobno jego dusza, która nie mogła zaznać spokoju, wędrowała po cmentarzysku, szukając ukochanej i ich nienarodzonego synka. Dużo ludzi powiada, że właśnie Henry i jego żona mieli spodziewać się dziecka. Jego żona, Louisa, zmarła podczas porodu, a z nią ich dzieciątko. Niestety, stary zarządca nie mógł znieść samotnych dni bez ukochanej. Ludzie, którzy mieszkają tam z pokolenia na pokolenie, powiadają, iż czasami potrafił nie wychodzić tygodniami z domu. Pewnej zimowej nocy poszedł na cmentarz. Tamtej nocy nie wrócił do Sądowa. Mieszkańcy twierdzą, że po cmentarzu wędruje jego dusza, poszukując ukochanej małżonki. Ludność Charbrowa Młyńskiego po dziś dzień, widząc tajemnicze światła, wspomina Henryka i jego wielką, nieśmiertelną miłość do Louisy. Jadąc przez Charbrowo, a dokładniej ul. Młyńską, w niewielkiej części wsi w gminie Wicko, można zauważyć palące się znicze przy niemieckim cmentarzu. Właśnie tam pochowana jest małżonka Henryka. Zapalenie zniczy stało się lokalną tradycją. Wierzą, że w ten sposób pamięć o Hen

ryku, jego małżonce oraz jego dziecku nigdy nie zniknie, a miłość Henryka zawsze pozostanie taka, jaka była.

Dawid Tesmer

Szafirowa Komnata ukryta w pięknej głębokiej duszy

Lębork, miasto o brukowanych uliczkach i historii tkwiącej w murach średniowiecznych budowli, budził się ze snu pod szafirowym niebem. Poranek nad rzeką Łebą niósł ze sobą zapach wilgotnych kamieni i chłód, który powoli ustępował pierwszym promieniom słońca. Na ławce przy bulwarze, skąd rozciągał się widok na leniwie płynącą wodę, siedziała Eleonora. Obserwowała niebo, zastanawiając się, w jakie kształty dziś ułożą się chmury. Wyglądały jak okręt zmierzający ku nieznanemu portowi - może ku przeszłości, a może ku przyszłości. Obok niej, choć nieco dalej, siedzieli inni. Nie znali się, ale łączyło ich coś niewidzialnego - zamyślenie malujące się na twarzach. Każdy z nich miał swoje myśli, wspomnienia i tajemnice, które jak stare księgi przechowywane w zakurzonych archiwach czekały, by ktoś znów je otworzył. Eleonora patrzyła na odbicie miasta w wodzie. Widziała w nim echa dawnych czasów, kiedy Lębork był miejscem spotkań kupców i rzemieślników, kiedy jego uliczkami przechadzali się rycerze, a kościelne dzwony rozbrzmiewały w rytm codziennych modlitw. Przypomniła sobie, jak spacerowała tu kiedyś z kimś bliskim—może z kimś, kto już odszedł, pozostawiając po sobie tylko cień w sercu i kilka rozmytych obrazów w pamięci. Mewy przecięły niebo białymi skrzydłami, jakby niosły ze sobą sekrety minionych dni. Wiatr delikatnie poruszał liśćmi drzew przy promenadzie, szepecząc ciche historie o tych, którzy kiedyś tu byli i myśleli podobnie. Każdy z nich, siedzących na tej ławce, miał swoje własne refleksje. Może o miłości, może o szczęściu, a może o twarzach, które kiedyś znał. Tego dnia, pod pastelowo-lazurowym niebem, byli razem—choć wciąż osobno—w swoim własnym świecie myśli, splecionych z historią Lęborka